



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: „ROSEBUD” ZNACZY „RÓŻYCZKA”

W zimny październikowy wieczór dziennik radiowy podał zwięzłą wiadomość: „w wieku siedemdziesięciu lat zmarł w Stanach Zjednoczonych jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego kina - Orson Welles; śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych”.

Ta „naturalna” śmierć wydała mi się jakimś nienaturalnym zgrzytem. Zupełnie zaskakującym akordem, zamykającym burzliwe, niezwykle, pełne skrajności, życie człowieka, który od dziesięcioleci egzystował, jako wprawdzie wciąż żywa i wielka, ale zarazem tragiczna legenda. Umierał w osamotnieniu. Wypalony od dawna twórca, o którym przed laty prasa pisała, jako o „geniuszu kina”... I przypominał tą swoją śmiercią w opustoszałym gmachu własnej wielkości - prasowego multimilionera Charlesa Fostera Kane, którego kiedyś, w młodości, sam wymyślił, i którego postać zagrał w swym debiutanckim, a zarazem najlepszym filmie, „Obywatel Kane”.

Czy także, jak kiedyś Kane, wyszeptał teraz to ostatnie, tajemnicze słowo, które po dziś dzień nie daje spokoju badaczom sztuki filmowej: „Rosebud” - „Różyczka”?...

„Obywatel Kane” powstał w 1941 r. Był dziełem „dojrzałego twórcy”, operował zupełnie nowym, rewolucyjnym językiem filmowej narracji, sięgał po nieznane dotąd zabiegi formalne, zgłębiał socjo- i psychologiczne motywacje działalności głównego bohatera. Słowem - dokonywał artystycznego „przewrotu” w egzystującym od dziesięciu lat kinie dźwiękowym. A przy tym wszystkim reżyser „Obywatela Kane” miał zaledwie... dwadzieścia sześć lat! I tak jak Kane, którego prototyp upatrywano w postaci znanego ówczesnego potentata prasowego Hearsta, zawdzięczał Orson Welles wszystko własnej pracy i własnym nieprzeciętnym zdolnościom. I on, i Kane, byli personifikacjami najmodniejszego amerykańskiego mitu: self-made mana.

Welles nigdzie nie uczył się robienia filmów. Tak jak przedtem w żadnej szkole nie uczył się „roboty” radiowej, co zupełnie nie przeszkodziło mu w zrobieniu w 1938 r. genialnego słuchowiska na podstawie „Wojny światów” H. G. Wellsa, które zyskało światowy rozgłos. Nie uczęszczał także Welles do żadnej szkoły teatralnej, a mimo to od

szesnastego roku życia grywał w teatrach profesjonalnych. Urodził się jako „genialne dziecko”, dziecko przedwcześnie dojrzałe i rozwinięte umysłowo na skalę wręcz przerażającą.

Urodzony w 1915 r. w Kenosha, w stanie Wisconsin, był synem pianistki oraz biznesmena, lecz zarazem wynalazcy, podróżnika i... chętnie obracającego się w artystycznym świecie bon-vivanta. Już w wieku dwóch lat Orson Welles malował i rzeźbił. Wkrótce potem, nauczywszy się czytać, wziął się za... dzieła Szekspira. Znał Ravela i Strawińskiego, i jako pięcioletni chłopiec dyskutował z nimi na temat muzyki. Pasjonował się teatrem. Jako ośmioletni chłopiec napisał... „Powszechną historię dramatu”. Jako dziesięcioletni - grywał poważne role teatralne. Będąc jeszcze uczniem zaczął reżyserować w szkolnym teatrze sztuki, głównie szekspirowskie. Po skończeniu szkoły średniej po prostu opuścił dom rodzinny, wsiadł na statek i wylądował w Irlandii. A tam, w Dublinie, poszedł do dyrekcji teatru, przedstawił się jako znany aktor amerykański i... został bez wahania przyjęty do zespołu! Wróciwszy po kilku latach do Stanów Zjednoczonych, został bez większego trudu zaakceptowany jako renomowany aktor „europejski” oraz także reżyser teatralny. Dysponując wspaniałym, „wyrazistym” głosem, łatwo trafił do radia, przeżywającego dynamiczny rozwój. I wówczas właśnie dokonał jednego ze swych największych życiowych bluffów: jego słuchowisko „Wojna światów” było tak wyreżyserowane, że milion Amerykanów uległy panice, uwierzywszy, że istotnie w Stanach Zjednoczonych wylądowali Marsjanie! To ciągle, całozyciowe bluffowanie Wellsa podkreśla w swym szkicu o nim Aleksander Jackiewicz i cytuje znamienne zdanie słynnego reżysera: „Stałem się znany dzięki oszustwu”.

Po realizacji „Obywatela Kane” Orson Welles nakręcił w 1942 r. „Wspaniałość Andersonów”, film ciekawy w założeniu, o upadku starej ziemiańskiej rodziny amerykańskiej i klęsce dawnych tradycji w konfrontacji z wszechobecną, zwycięską, industrializacją. Ale był to film źle zmontowany i nadmiernie „okrojony” przez producenta. To było pierwsze potknięcie Wellesa. W dodatku Stany Zjednoczone znalazły się właśnie w stanie wojny z Japonią, a potem także z Niemcami, i przemysł filmowy nastawiał się na masową produkcję filmów „wojennych” lub patriotycznych melodramatów. Dla „wielkiej sztuki”, dla tak zwanego „ambitnego kina”, nie było czasu ani pieniędzy, ani miejsca. Dopiero w 1946 r. mógł Welles zrealizować swój film kolejny – „Intruza”.

Było następnie w życiu Wellesa jeszcze kilkanaście wyreżyserowanych przez niego filmów, w tym najciekawsze – realizacje szekspirowskie ( „Makbet”, „Otello”, „Falstaff”). Była interesująca ekranowa wersja „Procesu” Kafki. I wciąż przerywana realizacja „Don

Kichota”, filmu, mającego być – według przekonania reżysera – zwieńczeniem jego filmowych doświadczeń.

Aby zarobić na życie oraz na realizację swoich kolejnych obrazów, grywał w filmach innych reżyserów jako aktor, nie przebierając zresztą zbytnio w scenariuszach. Z czasem ten przystojny, młody człowiek o ujmującym sposobie bycia, fascynującym głowie i przesywającym spojrzeniu, roztył się do granic karykaturalnych, a jego zachowanie było obliczone na nieustanne epatowanie. „Widziałem go w tamtym czasie w Cannes – pisze Aleksander Jackiewicz. – [...] Wielki, brzuchaty, z grubym cygarem w zębach, otoczony przez dziennikarzy, fotoreporterów i „wiernych” ( do tych ostatnich należeli m.in. młodzi reżyserzy francuskiej „nowej fali”). Podobno wypalał w tamtym czasie ileś cygar dziennie, zapijał się koniakiem i winem. To było widać: czerwony, nalany, podekscytowany. Pracował przy tym – powiadają biografowie – za trzech”.

My w Polsce ostatni raz oglądaliśmy Orsona Wellesa w jugosłowiańskim „partyzanckim: filmie „Sutjeska” oraz w angielskiej „Wyspie skarbów” Johna Hougha z 1971 r. Welles napisał scenariusz do tego filmu i grał w nim słynną postać pirata Johna Silvera. Ale ani film, ani ta rola nie należały do wyróżniających się osiągnięć artystycznych.

Całe życie po „Obywatelu Kane” było usiłowaniem Orsona Wellesa, aby powtórzyć tamten młodzieńczy sukces. Próby te pozostały jednak bez skutku.

Według André Bazina, tajemnicze słowo „Różyczka”, padające z ust umierającego Kane’a, oraz kończąca film przebitka na płonące dziecinne saneczki bohatera filmu, opatrzone takim samym napisem, mogą oznaczać „melancholijne stwierdzenie, że zdobycie świata nie ma żadnej wartości, jeśli ceną jest utrata własnego dzieciństwa”. To – oczywiście – tylko jedna z interpretacji przesłania „Obywatela Kane”.

Ale warto też w tym miejscu zdać sobie sprawę z faktu, że sam Orson Welles był w jeszcze gorszej sytuacji niż jego bohater. On nie mógł nawet żałować utraconego dzieciństwa. On tego dzieciństwa nigdy nie miał. Urodził się jako „cudowne dziecko”, jako wyrastający wysoko ponad własne dziecięce środowisko „geniusz”.

Ten wybitny artysta nigdy nie miał normalnego dzieciństwa. I to właśnie zaważyło, w sposób tragiczny, na całym jego życiu.